Nr. 8. Lwów, 15 kwietnia 1899. Rok XXII.



Prenumerata roczna: 5 zł., 10 mr., 5 rs., 12 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Nasza petycya.

W poprzednim numerze w krótkiej, kronikarskiej wzmiance: „od Wydziału“, donieśliśmy szanownym czytelnikom naszym, że Wydział gal. Tow. łowieckiego, wykonywując uchwałę drugiego zjazdu łowieckiego, odbytego we Lwowie dnia 1. lipca 1898, wniósł do Sejmu memoryał z prośbą o jak najrychlejsze ustawodawcze przeprowadzenie zmian niektórych postanowień nowej ustawy łowieckiej z dnia 5. marca 1897 r.

Memoryał Tow. łowieckiego, wypracowany przez członka Wydziału tego Towarzystwa p. Seweryna Krogulskiego, dołączyliśmy do zeszłego numeru i z niego czytelnicy mogą dowiedzieć się, o jakie zmiany w postanowieniach ustawy łowieckiej proszono.

Nowa ustawa łowiecka nie miała szczęścia już od pierwszego dnia, odkąd pojawiła się na porządku dziennym obrad Sejmu. Już podczas dyskusyi nad nią w sejmie zamieściliśmy w *Łowcu* cały szereg artykułów, wykazujących jej dodatnie strony i jej wady. Głos nasz przebrzmiał wtenczas bez skutku, gdyż komisya sejmowa nie licząc się z jedynym fachowym organem łowieckim w naszym kraju, uwzględniła tylko małą część naszych życzeń i wprowadziła je do ustawy. Bardzo wiele jednak wad w niej jeszcze pozostało, co też było powodem, iż zanim jeszcze, została ogłoszoną i weszła w życie, już podniosły się przeciw niej w całym kraju rozliczne głosy i najpoważniejsi myśliwi i wyborni znawcy stosunków myśliwskich, tak w łamach *Łowca*, jak i podczas obrad Zjazdu, wydali jej świadectwo nadzwyczaj ujemne, uważając ją pod wielu względami za nieodpowiednią, niejasną i niezupełną.

Ze wszystkich stron kraju posypały się na ręce Wydziału Towarzystwa łowieckiego skargi i prośby, aby Wydział, jako reprezentant poważnego Towarzystwa,

zaliczającego do swego grona wybitnych myśliwych ze wszystkich stron kraju, rozpoczął w tej sprawie odpowiednią akcyę. Ulegając temu wezwaniu zwołał Wydział II. Zjazd łowiecki, przedłożył mu obszerny w tej sprawie referat dra Małaczyńskiego, spowodował na Zjeździe odpowiednią uchwałę, którą, jak już podnieśliśmy, wykonywując, wniósł imieniem Towarzystwa swój memoryał do Sejmu.

Sejm, który jedynie dla braku czasu, (sprawa zmiany ustawy, sankcyonowanej już przez monarchę, nie może być traktowaną dorywczo, lecz wymaga długich obrad i studyów) memoryału nie załatwił, przekazał go Wydziałowi krajowemu. Przychylne przyjęcie, z jakiem się memoryał nasz spotkał w pierwszym rzędzie u członków komisyi, a następnie w całym Sejmie, dodaje nam otuchy, że Wydział krajowy, który sprawę tę będzie roztrząsał, a który zawsze postępuje w myśl życzeń Sejmu, kwestyę naszej petycyi pomyślnie załatwi. Mamy tę nadzieję, bo wiemy, że wśród członków Wydziału zasiadają ludzie, którzy rękę swą trzymają zawsze na pulsie potrzeb naszego społeczeństwa i wiedzą co jemu, lub poważnym warstwom jego dolega, co je boli i co wymaga bezzwłocznej naprawy. A że tu w sprawie zmian niektórych postanowień ustawy łowieckiej bezzwłoczna naprawa jest konieczną, czują wszyscy ci, którzy z łowiectwem mają do czynienia i którzy pragną, aby i ten dział naszej gospodarki krajowej, podniósł się, wzmógł i rozwinął i aby przyczynił się do pomnożenia dochodu gmin, wydzierżawiających prawo polowania, oraz do podniesienia dochodu jednostek wykonywujących prawo polowania, a przez to i do podniesienia ogólnego dobrobytu krajowego, boć przecie społeczeństwo z jednostek się składa i tam, gdzie jednostki bogate i zasobne, tam i społeczeństwo silne i możne.

Najlepszym dowodem, iż petycya nasza była wyrazem dążeń i pragnień całego naszego obywatelstwa ziemskiego, które sprawą zmian ustawy najbardziej się zajmuje, bo jej wady najbardziej mu się odczuwać dają, jest stanowisko prasy, które ona zajęła wobec naszej petycyi. Gdy memoryał wpłynął do Sejmu, prawie wszystkie pisma bez różnicy odcieni swych przekonań politycznych, tak *Słowo polskie* jak i *Przegląd*, tak *Gazeta narodowa* jak i *Dziennik polski*, powodowane jedynie względem na dobro tych, którzy prośbę o zmiany w ustawie łowieckiej wnieśli, poparły naszą petycyę gorącemi słowy i żądały nawet, aby Sejm załatwił postulaty wyliczone w memoryale, jeszcze podczas ostatniej sesyi sejmowej, która żywot swój zakończyła 28. marca. Niestety z powodu spóźnionej pory to stać się nie mogło, ale poparcie prasy jest, jak już rzekliśmy, jeszcze jednym dowodem więcej, iż zmiany są konieczne i że od nich zależy pomyślny rozwój i postęp łowiectwa.

Wiemy bardzo dobrze, że Wydział krajowy tych kwestyj, które zdążają do zmiany ustawowych postanowień ustawy, sam przeprowadzić nie może, lecz może tylko przygotować i uchwalić odpowiednie wnioski i przedłożyć je na najbliższej, jesiennej sesyi sejmowej, do ustawodawczego traktowania. Ale w memoryale naszym podniesione są niektóre kwestye, które nie potrzebują właściwie przechodzić długiej drogi ustawodawczej, lecz mogą być zmienione przez Wydział krajowy w porozumieniu z Namiestnictwem: jako *zmiana lub dodatek do przepisów wykonawczych*. A może w ten sposób, jak nas poinformowano z kompetentnych sfer prawniczych, uzupełnionym być przepis §. 41, najbardziej dotykający ogół myśliwych. Powiada on: „zakazanem jest polować w niedzielę i święta uroczyste“. Pierwsza część tego przepisu, poruszona w naszym memoryale, a domagająca się zezwolenia na polowania w niedzielę, *z ograniczeniem zakazu polowania jedynie do polowań z naganką podczas nabożeństwa rannego*, nie może być załatwiona w krótkiej drodze, przez uzupełnienie lub zmianę przepisów wykonawczych, gdyż ustawa wyraźnie powiada, iż w niedzielę polowanie jest zakazanem. Żądana w naszym memoryale zmiana przeprowadzoną być może tylko przez uchwalenie przez Sejm zmiany ustawy i poddanie tej zmiany do zatwierdzenia monarszego.

Inaczej atoli sprawa ma się z drugą częścią §. 41, która mówi, iż „zakazanem jest polować w święta uroczyste“. Przepis ten już dzisiaj może stanowczo być wyjaśniony i uzupełniony rozporządzeniem wykonawczem. Wyczekujemy załatwienia tej sprawy w drodze przez nas wskazanej tem niecierpliwiej, że jest to kwestya piekąca, która już dzisiaj dała się uczuć dotkliwie łowiectwu krajowemu, jak świadczą o tem liczne artykuły zamieszczone w *Łowcu* przez najpoważniejszych znawców stosunków łowieckich naszego kraju.

Jakże bowiem niewyraźnym jest przepis: „zakazanem jest polować w święta uroczyste“. W jakie święta uroczyste? Czy we święta wszystkich wyznań, a więc i żydowskiego, czy też ciągnąc równoległą do niedziel w święta chrześcijańskie, a więc także w święta ewangelickie, schizmatyckie, czy też tylko w święta katolickie? Jeżeli zaś tylko w święta katolickie, to znów zachodzi pytanie według jakiego obrządku: rzymsko czy grecko katolickiego? Dalej jeszcze pozostaje do rozstrzygnięcia kwestya, czy postanowienia ustawy odnoszą się do wyznania tej osoby, która poluje, czy do wyznania tych, którzy są właścicielami gruntów, na których polowanie się odbywa, czy wreszcie do wyznania tych, którzy już to jako naganka, lub też jako inna pomoc przy polowaniu, biorą w niem udział.

Na wszystkie te wyłuszczone powyżej kwestye może dać odpowiedź uzupełniająca rozporządzenia wykonawcze, gdyż tu trzeba nie zmiany przepisu ustawy, tylko jego, jak to wyżej powiedziano, wyjaśnienia i uzupełnienia i to uzupełnienia w duchu intencyj ustawodawcy, w przepisach wykonawczych niedostatecznie interpretowanych. Pomijamy tu sprawę ograniczenia zakazu w niedziele tylko do polowań z naganką podczas porannego nabożeństwa, gdyż i ta drobna zmiana, zupełnie nie sprzeciwiająca się intencyom ustawodawcy, musi przejść niestety koniecznie drogę ustawową. Natomiast nic nie stoi na przeszkodzie wydaniu w przepisach wykonawczych określenia, iż nie wolno polować tylko w święta uroczyste, obchodzone przez większość mieszkańców tej miejscowości, w której odbywa się polowanie. Przez to stałoby się zadość intencyom ustawodawcy, a zarazem przyniosłoby się ogromną korzyść tym myśliwym, którzy w dni powszednie związani pracą nie mogą oddawać się szlachetnej rozrywce myśliwskiej, że mieliby bodaj kilkanaście dni w roku, w których polowaćby mogli.

Mógłby ktoś zrobić zarzut, że wydanie podobnego przepisu jak powyższy, nie mogłoby być zastosowane do miejscowości, w których mieszka ludność mieszana obrządku rzymsko i grecko katolickiego, gdyż zawsze podczas polowania w święta obchodzone przez mniejszość i to często mniejszość bardzo znaczną, byłyby te święta sprofanowane. Otóż tak nie jest. Przepis taki nie wprowadzałby nic nowego, nie raziłby nikogo, bo wszak i dziś w miejscowościach takich mieszkańcy obrządku rzymsko katolickiego, wykonywują roboty polne w święta według obrządku grecko-katolickiego i odwrotnie, a nikt tego nigdy nie uważał za zgorszenie.

Uzupełnienie przepisów wykonawczych w duchu przez nas proponowanym uczyniłoby zadość żądaniom ogółu łowców w naszym kraju, a w niczem, absolutnie w niczem, nie naruszyłoby ani przepisów ustawy, ani intencyj ustawodawcy.

Dalej mógłby Wydział krajowy w myśl żądań memoryału załatwić we własnym zakresie jeszcze jedną kwestyę. Oto najpierw Wydział Towarzystwa łowieckiego, a następnie w szeregu świetnych artykułów w *Łowcu* p. Strzemię, poruszył sprawę dla bytu i rozwoju naszego Towarzystwa bardzo doniosłą. Udowodnił on, iż rząd powołując przepisem ustawy do wspólnej akcyi w wykonywaniu przepisów ustawy łowieckiej gal. Towarzystwo łowieckie, powinien ustalić byt jego w ten sposób, by jego istnienie nie zależało od woli kilku jednostek, czy zechcą płacić wkładki, czy też nie, lecz żeby już na mocy ustawy oparte było na silnych i trwałych podstawach. Wyjście z tego widzi p. Strzemię w tem, aby tak rząd, który czerpie dochody ze stempli na karty myśliwskie, jakoteż kraj, do którego kasy wpływają opłaty za te karty, przyczyniły się odpowiedniemi kwotami do ustalenia bytu Towarzystwa. Żądanie to jest tem słuszniejsze, że nie zawiera w sobie nic tak nadzwyczajnego, gdyż pokrewne naszemu Towarzystwa: jak Towarzystwo gospodarskie, Towarzystwo rybackie i t. p. czerpią z funduszów rządowych i krajowych. Memoryał wnosi przeto, ażeby §. 84 ustawy uzupełniono następującym przepisem:

„*Fundusz krajowy połowę dochodu z opłat za karty myśliwskie przeznaczyć ma corocznie na podniesienie gospodarstwa łowieckiego, jako części kultury krajowej*“.

Dalej wnosi memoryał, aby w razie, gdyby powyżej proponowana zmiana uchwaloną została, Sejm biorąc wzgląd na to, iż Wydział krajowy sam pracą około podniesienia kultury łowieckiej zajmować się nie może, uchwalił następujący wniosek:

„Sejm poleca Wydziałowi krajowemu, aby przeznaczoną w §. 84 kwotę na podniesienie gospodarstwa łowieckiego użył na właściwy cel w porozumieniu z Wydziałem galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego we Lwowie, jego delegatami powiatowymi i prezesami najpoważniejszych Towarzystw myśliwych“.

Zanim atoli proponowane zmiany będą mogły być uchwalone przez sejm, może Wydział krajowy zaraz choć w części zadość uczynić powyższemu żądaniu i bodaj drobną kwotę, z pobranej za karty myśliwskie, przeznaczyć na rzecz galicyjskiego Towarzystwa myśliwskiego. Przyznanie choćby części z proponowanej w §. 84. kwoty może przynieść łowiectwu krajowemu olbrzymie korzyści. Towarzystwo łowieckie mając do rozporządzenia większe nieco niż dotąd fundusze, nie użyłoby ich na własne administracyjne cele, lecz wydałoby je na sprowadzenie żywego, rozpłodowego materyału, na nagrody dla straży łowieckiej za sumienną opiekę nad zwierzyną, na racyonalne żywienie zwierzyny, na tępienie drapieżników, chwytanie kłusowników i prześladowanie niesumiennych handlarzy, słowem, podjęłoby akcyę w wielkim stylu, na co samo dziś dużo łoży, ale podołać wszystkim wymaganiom nie może, a co do podniesienia i rozwoju łowiectwa w kraju przyczyniłoby się znaczniej, niż wszelkie ustawy, przepisy i reskrypty, będące po większej części na papierze, a nie wykonywane w istocie.

Zresztą takie udzielenie zasiłku Towarzystwu łowieckiemu, nie naraziłoby Wydziału kraj. wcale na uszczerbek w dochodach. Gdyby Towarzystwo łow. mające znaczniejsze fundusze do rozporządzenia, żywiej niż dotąd zajęło się podniesieniem i rozmnożą w kraju zwierzyny, wzrosłaby i liczba myśliwych i kart i liczba konsumcyi i eksportu, a stąd liczba podatku, a wszystkie te nadwyżki wpływałyby do kasy krajowej, która mimo pewnego wydatku na cele Towarzystwa łowieckiego, miałaby w rezultacie więcej czystego dochodu niż dziś, gdy łowiectwo u nas jest dość zaniedbane.

Zwracamy się przeto raz jeszcze do Wydziału krajowego z prośbą, aby raczył się zająć w pierwszym rzędzie temi dwiema sprawami, które załatwić można bez zmiany ustawy. Mamy nadzieję, że prośba nasza będzie wysłuchaną i że Wydział krajowy uwzględni życzenia tysięcy łowców, życzenia, skrystalizowane przez Wydział Tow. łowieckiego we wniesionym do Sejmu memoryale.

Kończąc nasze wywody musimy zwrócić się do naszych członków i czytelników. Ani żandarm, ani wszelka władza polityczna nie są w stanie mimo najlepszej chęci stać na straży prawa, jeżeli tego prawa nie popiera gorliwie ogół społeczeństwa. Mamy jeszcze wprawdzie rozległe knieje, gdzieby szlachetny zwierz mógł znaleść swe legowisko, gdzieby płochliwy jeleń mógł przebywać i mnożyć się — lecz tamę temu stawia bezkarna, wszystko tępiąca swawola. Cóż mówić o szlachetnej zwierzynie, gdy nawet najpospolitszy szarak ulega bezwzględnemu wytępieniu, gdy kłusownicy, nie karani przez władze surowo, plądrują knieje, wyprawiając w nich gorsze spustoszenia, niż ongi hordy tatarskie po kraju.

Obowiązkiem wszystkich miłośników łowiectwa jest temu zapobiedz, w zwartym szeregu wystąpić do walki przeciw wszelkim nadużyciom, przeciw łamaniu przepisów ustawy i przeciw kłusownikom. Wszakże pochopni jesteśmy do przyswajania sobie obczyzny, naśladujmyż ją więc w tem, co istotnie pożyteczne, co podnosi bogactwo krajowe. Mamy nadzieję, że przyjdzie nam w pomoc nowoskodyfikowana ustawa krajowa, ale wszelkie prawo staje się martwą literą, jeżeli nie znajdzie chętnych jego wykonawców w społeczeństwie.

Za granicami naszego kraju, jak np. w Austryi dolnej i górnej, w Czechach, a nawet na drobnych Morawach krajowe Towarzystwa łowieckie rozwijają się jak najpomyślniej, liczą tysiące członków, grupują około siebie inne Towarzystwa myśliwych i pomne zasady, że w jedności siła, idą wspólnie i gospodarstwo łowieckie podniosły tak wysoko, iż zrobiły je ważną

gałęzią gospodarstwa krajowego i jedną z ważniejszych rubryk w ogólnych dochodach kraju z tytułu: eksport.

U nas dotychczas ciągle jeszcze panuje apatya. Wprawdzie liczba członków galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego w ostatnich latach wzrosła i to wzrosła poważnie, ale zawsze jeszcze nie jest ani w przybliżeniu taką, jaką ze względu na obszar naszego kraju, na stan łowiectwa i na liczbę myśliwych być powinna. Towarzystwa łowieckie, istniejące na prowincyi, nie łączą się z krajowem Towarzystwem łowieckiem, nie idą z niem razem, lecz kroczą luzem, tak, że mimo istnienia kilkunastu Towarzystw myśliwskich w Galicyi, galicyjskie Towarzystwo łowieckie pozostawało w kontakcie tylko z lwowskiem Towarzystwem myśliwych im. św. Huberta i krakowskiem Towarzystwem myśliwych „Wisła“.

Tak być nie powinno. Delegaci i członkowie naszego Towarzystwa powinni mu jednać ciągle nowych członków, w galicyjskiem Towarzystwie łowieckiem powinni się znaleść wszyscy ci, którzy hołdują tej wielce szlachetnej rozrywce, jaką jest łowiectwo, a im będziemy liczniejsi, tem staniemy się potężniejszymi, tem więcej zaważymy na szali i niespożytą usługę oddamy krajowi, podnosząc wysoko, ważną gałęź jego bogactwa: łowiectwo.

Niechże więc delegaci nasi i członkowie nie dziwią się, że tak często odwołujemy się do ich poparcia, że tak często prosimy ich, aby nam szli na rękę i zjednywali nam nowych członków, bo odezw tych nie piszemy tylko w tym celu, aby módz się pochwalić liczbą pozyskanych nowych członków. My chcemy sięgać po cele dalsze, my wiemy, że im więcej myśliwych uszykuje się pod sztandarem naszego Towarzystwa, tem każdy krok jego będzie miał większe znaczenie, bo będzie oparty nie o setki lecz tysiące obywateli, bo wówczas będziemy mogli nietylko prosić, lecz stawiać żądania, a żądania te będą musiały być wysłuchane, bo będą one wyrazem życzeń poważnej liczby obywateli, bo liczba żądających jest zawsze i wszędzie najlepszą rekomendacyą dla samego żądania.

Gdy więc apelujemy do naszych delegatów i członków czynimy to tylko w interesie rozwoju łowiectwa i dlatego też tem częściej i tem śmielej z apelem naszym występujemy.

A więc wszyscy łowcy! dla dobra łowiectwa i kraju grupujcie się pod sztandarem galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego.

Redakcya.

POLOWANIE NA JELENIE

w Karpatach pokuckich.

Tłómaczenie z notatek myśliwskich E. Buxtona (Short Stalks by Edward North Buxton).

„W Karpatach nazywalibyśmy te rogi dosyć dobrymi“, zauważył mój towarzysz, oglądając w muzeum historyi naturalnej rogi jelenie, które ja dotąd uważałem za *non plus ultra* siły i pięknej formy. Z lekkiem też niedowierzaniem odpowiedziałem, że chciałbym widzieć te, któreby nazwał lepszymi. „No wiesz“, odparł mój przyjaciel, „tego ci obiecać nie mogę. U nas jelenie nie są tak liczne, jak u was w Szkocyi, ani lasy tak rozległe, ale przeszłego roku ubiliśmy ich siedm, a rok przedtem sześć. Prócz tego, gdybyś nawet i widział jelenie, możesz nie przyjść do strzału. Mogę ci tylko obiecać, że będziesz miał dobry obiad codzień“.

Ponieważ najgorętszem życzeniem każdego, oprócz ochoty na dobry obiad, jest zabicie stworzenia, któreby miało choć odrobinkę lepsze rogi od jakichkolwiek przez kogokolwiek zdobytych, można łatwo zrozumieć, z jaką radością przyjąłem propozycyę mego przyjaciela, zapraszającego mnie na swoje polowanie na jelenie w Galicyi, gdzie, jak mi obiecywał, te potwory żyją.

Szkockie, górskie jelenie większe są od jeleni żyjących na równinach, przewyższają je jednak niemieckie, które znowu mniejsze są od karpackich. Te rzeczywiście pod względem siły i wagi rogów są o wiele silniejsze od bawarskich i styryjskich. Nie ma granicy stałej, według której jelenie podzielićby było można, chociaż zachodnie powinny może raczej należeć do większej rasy, niż wschodnie. Czy zaś ol en lub maral kaukaski i Azyi mniejszej, tak podobny do karpackiego jelenia, jest też rzeczywiście od niego silniejszy, to twierdzić trudno. Z niektórych pomiarów, które wziąłem i rogów, które widziałem, może się zdawać, że temu samemu prawu podlegają. Twierdzą również, że im jelenie silniejsze, tem mniej liczne; i tak w lasach niemieckich, na tej samej przestrzeni, jest ich o wiele mniej, niż w Sutherland lub Sudernett; w krajach zaś, które opisywać będę, wilki zimową porą bardzo uszczuplają stada. Oczywiście, że i obfita i dobra pasza wpływa na rozwój jeleni, lecz wedle zdania mego przyjaciela zawdzięczają też one siłę brakowi trosk rodzinnych, gdyż tylko dwie lub trzy żony zatruwają im spokój domowy.

Wielki to szmat kraju z północnej Szkocyi do wschodnich odłamów karpackich gór, które mogą być uważane za granicę Węgier, Polski i Rosyi. Jechałem bez przerwy od wtorku rano do soboty popołudniu

i moje wrażenia ze środkowej Europy są dość niewyraźne. Przypominam sobie tylko rozległe ziemie bez drogowskazów, całe grupy czerwono ubranych chłopów, stogi siana, falujące łany zboża, długie rzędy bielonych chat, żółte dynie, stada gęsi i haniebne drogi.

Mniej więcej o jakie dwieście mil (ang.) na wschód od Krakowa, dawnej stolicy Polski, opuściłem główny tor kolejowy i przesiadłszy się na linię strategiczną, zbudowaną głównie dla transportu wojsk austryackich w razie wojny do wschodnich punktów kraju, zapuściłem się między szczyty Karpat. Około południa znalazłem się w obszernym, drewnianym domku myśliwskim, położonym wśród 400 mil kwadrat. obejmującego jodłowego lasu, oczekiwany przez gospodarza, którego główną przyjemnością jest zabawienie zaproszonych gości, i przez licznych myśliwych równie zapalonych jak ja. Zgromadzili się oni pięć dni wcześniej i w sieni wisiały już trofea, mające jeszcze do większego zapału pobudzić tych, którzy świeżo przybyli w te strony; jeden zwłaszcza czternastak, wspaniale rozwinięty i bogato uperlony, wzbudził we mnie uczucie zazdrości, które nie zawsze w sobie stłumić możemy. Bardziej jeszcze zajmującym był zbiór rogów zrzuconych, a znalezionych w rozmaitych stronach lasu od zeszłego roku, bardziej może zajmujący dlatego, że właściciele tych olbrzymich wieńców prawdopodobnie jeszcze żyli i chodzili i że mogłem ich spotkać, gdyby mi szczęście sprzyjało. Lecz jakże dalekiem wydawało mi się to szczęście, gdym spoglądał na tę ogromną przestrzeń ciemnego lasu i przypomniał sobie, że w zeszłym roku przeciętnie jeden tylko jeleń padł na sześćdziesiąt mil kwadratowych. Można było stracić wszelką nadzieję, gdyby nie to, że pora była właśnie najodpowiedniejsza, bo 20. września; wtedy każdy jeleń daleko i szeroko odzywa się z miejsca swego pobytu i oświadcza gotowość wystąpienia do walki z rywalem. Następnego dnia myśliwi odpoczywali, więc ja zwiedziłem w towarzystwie nadleśniczego lasy, otaczające domek myśliwski. Są one przeważnie ponure i jednostajne, raz tylko podczas czterogodzinnego drapania się po stromej górze zdołałem ujrzeć drugą stronę doliny. Jedyne przełomy w gęstwinie leśnej są tam, gdzie jaka burza przechodząc wyrwała wszystko po drodze, tworząc ogromne stosy drzew i gałęzi na 15 lub 20 stóp wysokie. W lesie tym rosną przeważnie świerki i buki, a gdzieniegdzie świecą się srebrne jodły, niektóre bardzo piękne i duże. Pierwszy mój krok był dość nieszczęśliwy, gdyż zaraz na początku pośliznąwszy się na gładkim pniu, zrulowałem z niesłychaną szybkością, a w chwilę potem znowu leżałem potknąwszy się na zgniłym korzeniu. Zaczynałem się więc przekonywać, że gumowe podeszwy na nic się tu nie zdadzą i wstydziłem się bardzo moich upadków przed nadleśniczym. W chwilę potem okazałem znowu swoją nieświadomość rzeczy, wypytując się o cel małych korytek wyżłobionych w drzewie, a umieszczanych na ziemi. Dowiedziałem się, że służą do zwabiania jeleni. Napełnia się je bowiem solą i gliną, jelenie wietrzą to, liżą i potem do tego miejsca wracają. Zdziwiły mnie też małe, płytkie studnie, które wyglądały jak w pniu wyciosane. Są to miejsca drzew przed wiekami wyrwanych i których korzenie dawno już pogniły; na ziemi



Przed ciągiem.
Oryginalna klisza „Łowca".

leżały krocie powalonych drzew. Cała powierzchnia pokryta jest tymi konarami i gałęziami mniej lub więcej zgniłymi, stanowią też one największą przeszkodę dla

myśliwych. Przepysznie wyglądają te powalone olbrzymy niektóre długości i grubości niewidzianej, całe pokryte zielonym mchem i szarą korą, sterczą jak zaklęte szkielety. Ileżby one powiedzieć mogły o sile przyrody i lepiej może nawet od zdrowych jeszcze braci. Niektóre leżą już od tak dawna, że chociaż kształt swój jeszcze zachowały, tworzą tylko masę porowatego, miękkiego drzewa. Takie stare pnie są często gniazdem dla młodych drzew i widzi się nieraz zdrowe, na parę łokci wysokie jodełki, rosnące na upadłym przodku. Aby się z takiego labiryntu wydostać, trzeba trafić na ścieżkę oznaczoną nacięciami na drzewach, której nazwa miejscowa „plyj“ (płaj) znaczy to, co „steiga“, po niemiecku. Te drożyny omijają najgorsze przeszkody. Jelenie też, które wybierają zwykle łatwiejsze drogi i równie jak człowiek omijać lubią trudności, po większej części trzymają się tych dróg. Póki się myśliwy tej wyciętej drogi trzyma, chodzenie jest łatwe, zamienia się ono jednak w prawdziwą gimnastykę, jeżeli się jest zmuszonym ją opuścić, idąc np. za głosem ryczącego jelenia. By nauczyć się cicho stąpać, zapuściłem się raz na parę godzin w taką gęstwinę. Z początku przychodziło mi to z trudnością, lecz z czasem, nogi moje nabrały takiej wprawy, że postępowałem nie patrząc na ziemię, starając się wzrokiem przeniknąć tajemniczą gęstwinę. Słuch też niesłychanie się wydelikaca, tak, że w tej ciszy, prawie przygnębiającej, słyszy się najmniejszy szelest. Powiew powietrza ledwo porusza tymi gęstymi krzewami, które tworzą istne mury, nie słychać żadnego głosu zwiastującego jakiekolwiek życie.

Podczas jednej, długiej, rannej wycieczki, ujrzałem tylko jednego jedynego jarząbka i parę razy usłyszałem bicie skrzydeł cietrzewi, przelatujących nademną z jednego drzewa na drugie. Prócz tego ujrzałem też kilka czarnych wiewiórek i parę sikor. Często spotykałem ślady najszlachetniejszych w Europie walk. Raz znalazłem się na półkolu pustem, ziemia poryta i skopana rogami i kopytami, zdradzała, że król stada złość tu swoją okazywał, łamiąc gałęzie i krzaki. Niedaleko obok, był wielki dół błota, a w nim widoczne jeszcze ślady jelenia, który się tu tarzał, rozrzucając wkoło mokrą ziemię. Samych jeleni wszakże aniśmy widzieli, ani słyszeli, pomimo, żeśmy trafili na świeży trop spłoszonego przez nas zwierza, co widząc towarzyszący mi chłop, wyciągnął ze swej torby starą butelkę z odbitem dnem, a położywszy ją na ziemi, by przygłuszyć dźwięk, wydobywał z niej głosy, naśladujące doskonale niecierpliwy, chrapliwy ryk jelenia. Niestety, najbardziej wyzywające głosy nie wywołały odpowiedzi.

Ta część lasu była zupełnie nietknięta siekierą. Ale tak nie jest wszędzie. Niektóre doliny, do których łatwiejszy był przystęp, były zupełnie wyrąbane. Na takiej przestrzeni sterczy tylko kilka pozostawionych pni bez wartości i zrąb taki pokrywa się wtedy nadzwyczaj bogato maliniakami i licznymi krzewami i tam najchętniej jelenie się trzymają. Aby belki dostawić do większej, spławnej wody, używany jest następujący sposób: duża grobla nazwana „klauzą“, około 40 stóp wysoka i odpowiednio szeroka, zbudowana jest z belek, przytrzymanych kamieniami i ustawiona w najwęższej części doliny. W ten sposób tworzy się sztuczny staw, który do woli wielkiemi śluzami spuszczać można. W nim lub poniżej gromadzą się belki, przyciągnięte z gór w zimie, po śniegu, albo też spuszczane w drewnianych łożyskach, na ten cel umyślnie zbudowanych. W chwili odpowiedniej podnoszą śluzy, a wtedy belki unoszone są prądem aż do wód Prutu lub Dniestru.

Ponieważ przeważna liczba angielskich myśliwych nie zna zupełnie sposobu, w jaki w tych lasach polują, więc pozwolę sobie kilka słów o tem powiedzieć. Oczywiście, aby przepolować cały obszar lasu, tych czterech lub pięciu myśliwych nie może rozchodzić się z jednego punktu. To też są dwa myśliwskie domy (Jagdhäuser), mniej więcej o 20 mil (ang.) od siebie odległe, ale i z nich myśliwi na polowanie nie wychodzą. W rozmaitych miejscach wśród kniei zbudowane są schroniska z okrąglaków, zwane kolibami, odległe od głównej kwatery od 2 do 6 godzin. Jest ich mniej więcej 30, aby ułatwić dostęp do wszystkich części lasu. Dla każdego myśliwego, ściśle jest wyznaczony kawał lasu i pod żadnym warunkiem nie powinien przekroczyć swej granicy, by nie psuć polowania sąsiadowi.

W dwa dni po moim przyjeździe rozjechaliśmy się każdy do swoich miotów. Na podwórzu oczekiwało nas ze 30 przewodników, między którymi zauważyłem najrozmaitsze typy. Przeglądając mapę tej części Europy, widzi się, że ludy z Azyi, chciwe bogatych pastwisk Węgier i Polski, ciągnęły tędy ku zachodowi, a potem znowu na wschód się kierowały. Sama nazwa miejscowości Tartarów wskazuje, że tędy była droga Tatarów. Między naszymi ludźmi byli więc Tatarzy, Mongoły o płaskiej i kwadratowej twarzy i o śpiczastych rysach Madiarzy. Wszyscy byli odziani tak samo, mieli serdaki bez rękawów, podszyte futrem, a na wierzchu bogato haftowane, przepasani skórzanymi pasami niezwykłej szerokości i grubości. Włosy długie, nieczesane, spadały im na plecy, u niektórych tylko postawa wojskowa i krótko ostrzyżona głowa wskazywały na niedawny powrót ze służby wojskowej. Byli też i żydzi. Ci różnią się nietylko ubiorem, ale całem zachowaniem. Oni z nami nie chodzili, w ogóle zdaje się, że mało dom opuszczają i że bardzo mało pracują, a przecież coś robić muszą, bo wszystko zagarniają, co ma jakąś wartość, mają wszakże jeden wspólny zwyczaj z resztą mieszkańców: wcale się nie myją! Służący mój Somalis Abdullah dopiero co przybyły ze wschodniej Afryki, nie mógł się temu wydziwić. Mówił, że dotąd nie widział ludzi, którzyby ubrania swego nigdy nie zdejmowali. „To są dzicy ludzie, tak jak „Masai“, powiedział“, ale to było tylko powierzchowne ocenienie, gdyż właściwie są oni bardzo łagodnego usposobienia. Muszę dodać, że zadziwienie było obustronne, gdyż Abdullah między innemi zaletami, umiał też jeździć na bicyklu i codziennie posyłano go po pocztę. Otóż ci ludzie nie widzieli nigdy ani czarnego człowieka, ani tego instrumentu, więc nie rozumiejąc co to być może, wierzyli święcie, że to jakieś zwierzę z nieznanych stron przywiezione i ze strachem uciekali do lasu, przy pierwszym spotkaniu się z nim.

W kraju tym nie ma pośredniej kasty między panem a chłopem, jest też wskutek tego pokora i usłużność zupełnie przygnębiająca dla zachodniego przybysza. Nie wie się, co zrobić ze sobą, gdy przychodzi taki mieszkaniec i kłaniając się tak niesłychanie nisko, całuje po rękach z takim zapałem. Ich pan zna ich wszystkich osobiście i mówi do nich jak do własnych

dzieci, dając im jak najdokładniejsze wskazówki. „Słuchaj Iwanie, twierdzisz, że trzy jelenie ryczą w Błażowej; może jest między nimi ten dwudziestak, którego pan graf widział przeszłego roku. Pójdź z tym angielskim panem do koliby na Bukowince, wyjdź w nocy, przekonaj się gdzie są jelenie i zdaj raport na godzinę przed wschodem słońca temu panu. Masz tam trochę paszy dla koni, ale kup jeszcze w dolinie wiązkę siana; w połowie przyszłego tygodnia przyprowadzisz tego pana do leśniczówki na Zielomierz, gdzie ja na was czekać będę“.

Takie i podobne wskazówki powtarzane są naszym przewodnikom, aż je na pamięć umieją. Ponieważ ja nie rozumiałem ani po polsku ani po rusku, dodano mi nadleśniczego Niemca, który był dla mnie najlepszym doradcą i wielką pomocą.

Ciąg dalszy nastąpi.

DO GAWRY,

Przez Leopolda hr. Starzeńskiego.

Że Dyana była moją najpierwszą miłością,
To już mógłbym przysięgą zatwierdzić z pewnością,
A co więcej, zaręczyć teraz jestem w stanie,
Że i moją ostatnią miłością zostanie.
Lecz wyznaję — że choć ją tak kocham z zapałem,
Kapryśniejszej kobiety w życiu nie widziałem.
Jej to wolno — i może to jest jej zaletą,
Jest Boginią — co więcej jeszcze... jest kobietą.
Małym chłopcem już u nóg jej ciągle klęczałem
I jak w słońce słonecznik, w jej lica patrzałem.
Pierwsze w życiu natchnienia znalazłem w jej oku.
I z jej ustek czarownych czekałem wyroku.
Ona pierwsza mi skarbów pokazała krocie:
I tak naprzód trzynadle i wróble na płocie,
A potem znów z kolei przepiórki, chruściele,
I różne drobne ptactwo, którego tak wiele.
Potem kszyki, dubelty, kaczki, bataliony,
Dropie, gęsi, cietrzewie, głuszce i kulony,
A gdym się u stóp Pani mej złożyć ośmielił
Stosy ptactwa różnego, com w polu zastrzelił,
Ona ręką wskazała w głębi ciemne bory,
Lub gdzie kres nieboskłonu, niebotyczne góry.
Tam mieszka ryś, wilk, niedźwiedź, tam są dzików stada,
Obok sarn wiatronogich, jeleni gromada,
Słowem, różne zwierzęta drapieżne, rogate,
W które te polskie knieje tak jeszcze bogate.
Ta miłość moja ślepa nie była daremną,
Bo odtąd, jakby Matka, czuwała nademną.
Przecież zbyt o dobroci jej nie mogę głosić,
Bo o strzał do niedźwiedzia nie mogłem uprosić.
Ileż razy szeptałem jej prośbę do ucha,
Lecz w tym jednym kierunku była jak pień głucha.
Wprawdzie czasem pół-słówkiem zalotnie odpowie,
Że mglistą obietnicę już widzę w jej słowie,
Półksiężyc swój poprawia na jasnym warkoczu,
We mnie znowu nadzieja wstępuje z jej oczu,
Śliczną rączką pogłaszcze czoło swej charcicy,
Z wdziękiem kurki naciągnie u swojej rusznicy,
(Bo tak nas Mitologii poucza nauka,
Że dawniej używała włóczni albo łuka,
Przy wydoskonaleniach dziś broni rozlicznych
Ma broń z najznakomitszych fabryk zagranicznych),
Potem rączką skinęła, zaśmiała troszeczka
I w podskokach pobiegła, jak lotna sarneczka.
Z przed mych oczu w gęstwinie gdzieś znikła, niestety!
Ot — jak zwykle to czynią zalotne kobiety.
Czyliż za moją stałość, wierności dowody,
Jam już nie wart na świecie tej jeszcze nagrody?
Darmo! — Moja władczyni w tem nieubłagana;
Próżno proszę i żebrzę, zginając kolana.
Lat już blisko czterdzieści poluję w tych górach,
Koczuję w połoninach, na szczytach, gdzieś w chmurach.
Bo nie tracę nadziei. — Co będzie, to będzie,
Ona mi kiedyś mysia za kudły przywiedzie.
I nie stygnę w zapale — lecz — wszystko daremnie,
Ona tylko podobnoś naśmiewa się ze mnie!
Nikt mi dziś nie obliczy i nikt nie wyśledzi,
Ile tam na tych łowach ubito niedźwiedzi.
A ja, choć na najlepszym gdzieś przesmyku stałem,
Zawsze z sztućcem dziewiczym do domu wracałem.
Bo to, kiedy gon psiarni już się ku mnie zbliża,
I przed sobą już słyszę chód ciężkiego zwierza,
Dyana ma przez psotę... ha! cóż? trudna rada!
Za kudły mysia wiodła na mego sąsiada.
Ileż razy znów było, żem już mysia zoczył,
Ale on na sąsiada mego na sztych kroczył,
Byłbym mógł dobrze strzelić, gdy takie zrządzenie,
Lecz mi nie pozwalało myśliwskie sumienie.
Gdzie na szczycie Paraszki długa połonina,
Gdzie rosną krzaki malin i kosodrzewina,
W piękną noc księżycową na zasiadce byłem,
W gęsty krzak jałowcowy jak mogłem się skryłem.
Cicho było dokoła i noc była głucha...
Nakoniec, po północy wychodzi marucha!
Wietrzył po połoninie i usiadł za krzakiem;
Malinowe jagody zaczął jeść ze smakiem.
Krew mi z serca odbiegła, dech się wstrzymał wszystek,
I tak drżałem z wzruszenia jak osiki listek.
Siłą woli stłumiłem jednak serca bicie,
By gościa tak zacnego przyjąć należycie.
Lecz cóż?... Moja bogini znów się nawinęła,
Przez figle mu złym wiatrem prosto w nos dmuchnęła.
Mysio zwietrzył, porzucił różowe maliny,
Zamruczał i galopem uciekł z połoniny.
I znów smutny wróciłem do ogniska mego,
Jakby dyrektor banku zbankrutowanego.
Gdy tych czarów pokonać nie leży w mej mocy,
Muszę zabić niedźwiedzia bez Dyany pomocy.

Raz w Arszycach widziałem wypadek nie nowy,
Mysio padł, lecz go zabił na flance gajowy.
Takie me przeznaczenie! to jest oczywiste!
A lufki mego sztućca znowu były czyste.
Ha! cóż?... Trudna to walka z niewidzialnym wrogiem!
Więc markotny usiadłem przed leśnictwa progiem.
W tem Wasyl, stary góral, do mnie się przybliżył,
Kapelusz ze swych kudłów do kolan mi zniżył.
Wasyl to strzelec w górach dawno osiwiały,
Dobrze znany kłusownik w okolicy całej.
Że miano kłuownika wstręt obudza wszędzie,
To pewno dla nikogo sekretem nie będzie
I z dolin bym ich wszystkich pewno bez repliki
Wysłać pragnął czemprędzej gdzieś do Ameryki,
Ale kto w naszych górach chociaż raz polował
I tam różnych łowieckich manowców próbował,
Uzna, niech się z wyprawą kto jak chce sposobi,
Pewno bez kłusowników nic a nic nie zrobi.
Dotąd mym powodzeniom w gór naszych obszarze
Bardzo rzadko pomogły mi rządowe straże,
Przeważnie je zawdzięczam wprost innym czynnikom
I ze wstydem wyznaję: tylko kłusownikom.

Wasyl rzekł mi półgłosem: „Ja mówiłem, Panie!
Że durne na medwidia takie polowanie.
Niechnoby pan do gawry kiedy poszedł ze mną,
Toby wtedy robota nie była daremną.
A gawra taka pewna! Ja dam zaraz szyję,
Że pan tam najpewniisze medwidia ubyje“.
„Gdzie ta gawra?“ spytałem, jak z grobu wskrzeszony!
„Za horbkom, ne daleko, tam, z zachodniej strony“.

Zabić wreszcie niedźwiedzia w jakimbądź sposobie,
Za wielkąbym zasługę nie poczytał sobie.
Wszak za paręset rubli w Petersburgu, Wilnie,
Można w gawrze niedźwiedzia kupić nieomylnie.
Ale łowy podobne mnie niezdolne zwabić,
Chcę mysia karpackiego, tu, w ojczyźnie zabić.
A już rozkosz najwyższa, to każdy mi przyzna,
Tutaj zastać go w gawrze, gdzie jego ojczyzna.
Pójdę, pójdę do gawry! niech mróz jak chce szczypie,
Niechaj mnie tam i śnieżna lawina zasypie.

Mej rozmowy z Wasylem już nikt nie spamięta.
Dość, że wreszcie stanęły i pacta conventa,
Że jeśli niedźwiedź moją zdobyczą się stanie,
Wasyl tyle a tyle guldenów dostanie.
Towarzysze, co lepiej znali takie sprawy,
Odciągali mnie od tej szalonej wyprawy.
Lecz na głos ich w mej duszy było całkiem głucho,
Nic już więcej nie chciałem słyszeć na to ucho.
Wasyl pobiegł po Dmytra, swego przyjaciela,
Który z nim wszystkie górskie wyprawy podziela;
Automat w jego ręku, cierpliwy bez miary,
Wodę nosi, drwa rąbie i dźwiga ciężary.
Słowem, jest dla Wasyla w dzień, wieczór, czy z rana,
Czem wielbłąd dla Araba, czem muł dla Hiszpana.

Wasyl spóźnił swój powrót. Jak tajni ajenci
Mówili mi, że jakoś, choć nie z wielkiej chęci,
Coś o karczmę zawadził, o czem sam nie roił
I tam spił się jak Bela, nawet Dmytra spoił.
A potem finansowych czynności próbował,
Bo u swego sąsiada dwa byczki stargował,
Które jemu zapłaci pewno jutro z rana,
Skoro setkę dostanie już od tego pana,
Którego teraz w góry do gawry powiedzie,
Gdzie, jak gdyby w komorze, na pewno niedźwiedzie.
Czy robiłbyś Wasylu, plany takie duże,
Gdybyś był czytał bajkę o niedźwiedziej skórze?
Choć się strasznie zżymałem i zacząłem srożyć,
Trzeba było wyprawę do jutra odłożyć.

Skoro słońce od wschodu zajrzało z za skały,
Złocąc na drzew gałęziach ze szronu kryształy,
Pięliśmy się pod górę, zapadając w śniegu,
We trzech zwartą kolumną, jak gwardya w szeregu.
Dmytro dźwigał kobiałkę, w której kawał chleba,
Zimne mięso, ser, wódka, bo więcej nie trzeba.
Otaczał nas dokoła stary las jodłowy,
Tu znów świerki ku niebu podnosiły głowy,
Tam gałęzie ku ziemi pochyliły brzozy,
A szron szumiąc im w ucho, szepcze: „Mrozy! mrozy!
Każda jodła z szmaragdów strój świąteczny wdziała,
A na głowie ze szronu pyszny dyadem miała,
Z którego blask rubinów i szafirów leci;
W każdym szronu krysztale małe słońce świeci.
A przed nami wciąż stają zaśnieżone łomy
Zgniłych jodeł, wysokie jak piątrowe domy.
Przy nich sterczą gałęzie ku ziemi schylone,
Gęste, jak gdyby siatka, jak płoty grodzone.
Wpadniesz w jamę, nie wyjdziesz z niej o własnej mocy,
I musisz towarzyszy zawezwać pomocy.
Znów Dmytro wpadnie w jamę, że aż ziemia dudni,
Ciągniem go, tak jak żuraw ciągnie wiadro z studni.
Gdym raz taki łom przebył, tom się aż sam zdumiał;
Chyba niedźwiedź swobodnie by tu chodzić umiał.
Tej góry z tysiąc metrów, jak tu zwykle bywa,
A Wasyl w swym żargonie „horbkiem“ to nazywa.
Idziem... idziem... nie widne żadne ludzkie ślady,
Jakoś temu horbkowi nie można dać rady.
Zawsze na zapytanie, którem jemu zadał,
„Wże duże ne daleko“, Wasyl odpowiadał.
Już słońce do zachodu pochyliło głowę
I promienie chowało za bory jodłowe,
Jeszcze chciało, nim pójdzie się za szczyty schować,
Na dobranoc Paraszkę w łysinę całować.
Ona zarumieniona, stanęła w purpurze
I ze wstydu schowała głowę w śnieżnej chmurze.
Zmrok zapadał. Mnie z chodu aż drętwiały nogi,
Gdy mi Wasyl oświadczył, żeśmy już pół drogi
Uszli właśnie do gawry; że nocować trzeba.
Nocleg w zimie, bez dachu! Dziej się wola nieba!
Mrozu stopni dwanaście. Ha! ogień od czego?
Nazbierano naprędce więc łomu suchego,
A potem gruba kłoda jakoś się przywlekła
I buchnął jasny ogień, jak w czeluściach piekła.
Więc zasiedliśmy w koło, spożyli wieczerzę
I już mych towarzyszy Morfeusz w moc bierze.
I jam myślał, że zasnę, już nie jedną chwilką,
Lecz mój sen, w tych warunkach, był istnym snem tylko.
Gdy przy ogniu ogrzała się twarz, pierś i szyja,
Już mróz pełza po grzbiecie, jakby zimna żmija;
Więc się trzeba obrócić. Ledwo grzbiet ogrzałem,
Znowu z przodu mróz pełza po mem ciele całem.
Gdy się jabłko chce upiec, wiem to z doświadczenia,

Trzeba je naprzód bardzo zbliżyć do płomienia,
Gdy się je pierwej w papier wilgotny obwlekło
I wciąż potem obracać, aby się upiekło.
Ja, do jabłka takiego też podobny byłem,
Na ciągłem obracaniu całą noc spędziłem,
A zaś obaj górale, z pięściami pod głową,
Smacznie spali na mrozie, jakby w noc majową.

Dokończenie nastąpi.

KORESPONDENCYE.

Dolina 10. marca 1899.

Jako członek i delegat gal. Towarzystwa łowieckiego przesyłam Szanownej Redakcyi dla celów statystycznych — wykaz ubitej zwierzyny w sezonie 1898/1899 przez tut. spółkę myśliwską, której jestem przewodniczącym,

Spółka tutejsza liczy pięciu członków i dzierżawi w okolicy Doliny prawo polowania na obszarach gminnych: Grabów, Nadziejów, Witwica, Kniażołuka z Debołówką, Tiapcze, Jaworów, Sołuków i Jakubów. Teren do polowania stanowią przeważnie pola orne, mokre pastwiska oraz krzaki, tak zwane „łazy“, a więc poluje się też przeważnie przed psem legawcem, lub z naganką w dwóch lub 3 gminach, gdzie znaczniejsza przestrzeń zalesiona do takiego polowania się nadaje.

Jakkolwiek rozwielmożnione — jak w każdej okolicy podgórskiej — kłusownictwo, oraz nader ostry klimat nie bardzo sprzyjają rozmnoży zwierzyny w ogólności, to z przyjemnością ten fakt podnieść muszę, że ubiegłej jesieni więcej się widywało zajęcy i kuropatw, niż w latach poprzednich, a że mało się ich strzelało i zima była łagodna, spodziewamy się ich więcej w tym sezonie. Ogromne szkody w stanie zajęcy zrządzają włóczące się po polach psy, a jest tu zwyczajem, że każdy niemal chłop goniąc bydło na pastwisko, jednego lub kilka ich z sobą bierze; — zabicie zaś takiego szkodnika pociąga za sobą nieprzyjemności, bo chłop uważa to za chęć dokuczenia mu i niejednokrotnie sprawa taka aż o sąd — oczywista na niekorzyść skarżącego — się oparła.

Sarn mamy nie wiele, a inna grubsza zwierzyna, jak dzik, jest tylko przechodnią.

Wykaz ubitej zwierzyny w sezonie 1898/1899:

Ze zwierzyny pożytecznej: kszyków 21, dubeltów 10, kulików 4, cyranek 3, przepiórek 45, kuropatw 22, zajęcy 40, kozłów 4, dzików 1, (warchlak) razem sztuk 150. Ze zwierzyny szkodliwej: lisów 9, łasic 1, kotów 5, psów 3, jastrzębi, kań, wron i srok 56, bocianów 2. Razem sztuk 76. — Ogółem sztuk 226.

Słonki, w które okolica tutejsza dawniej obfitowała — w zeszłym roku całkiem nas ominęły. Wiosną ciąg był słaby, — jesienią zaś zaledwie dwie czy trzy sztuki tędy się zabłąkały. Liczba cietrzewi zmniejsza się także z roku na rok, mimo, że ich się prawie nie strzela, a to skutkiem ciągłego trzebienia „łazów“, które są widocznie ulubionym schroniskiem tego szlachetnego ptaka; pozostaje ta smutna nadzieja, że w niedalekiej przyszłości będzie on u nas tylko tradycyą.

Kończąc to moje sprawozdanie donoszę zarazem o obecnym ciągu słonek.

Pierwszy ich ruch obserwowaliśmy tu dn. 6 bm. Na ciągu 7^{0}., który był już lepszym ubiłem jedną sztukę. 8^{0}. ciągnęły bardzo licznie, ale nie można było przyjść do strzału. Ciągnęły przeważnie z zachodu na wschód przy lekkim, ciepłym wietrze, wiejącym w tym kierunku. 9^{0} słyszano zaledwie jedną, czy dwie; prawdopodobnie ciąg słonek uważać można za ukończony, zwłaszcza, że jak nam donoszą z okolicy, to i tam już pojedyńcze sztuki przed świętami wielkanocnemi przelatywały.

Dołączam tu dla użytku Szanownej Redakcyi, przysłaną mi przez P. Hołubowskiego (leśniczego w dobrach metropolital. w Perehińsku) kartę, z opisem zdarzenia z rysiami w tamtejszej okolicy.

Władysław Kossakiewicz.

List, o którym mowa, brzmi: Tej zimy w Zielonej Jaworynie, gdzie się znajduje klauza, przy której mieszka dozorca stawów, żona tegoż dozorcy usłyszała w dzień, że coś kury niepokoi w stajence. Przybywszy na miejsce, spostrzegła uganiającego się po stajni młodego rysia. Zamknęła natychmiast drzwi od stajni i ubiła rysia... patykiem. W parę dni później spostrzegł dozorca klauzy za swoim domem starego rysia, który przyczaił się, skradając się do kur. Tego rysia zastrzelił dozorca. Zielona Jaworyna jest położona o 15 km. wyżej od Podlutego.

Zeszłego tygodnia zatruł się gruby niedźwiedź w kameralnych lasach Jasieńskich, w Kuźmieńcu, mięsem powalonego przez wilki jelenia, którego zaprawiono strychniną.

Hołubowski.

W Suchodole obok Bóbrki 1. kwietnia 1899.

Dnia 17. marca b. r. widziałem na ciągu pierwszą słonkę, która po krótkim chrapaniu niedaleko przedemną zapadła. Wieczór był wyjątkowo spokojny i łagodny, ziemia bez śniegu. Tu i ówdzie odzywały się już drozdy i kosy i zdawało się, że wiosna za pasem i że ciąg słonek wkrótce na dobre się rozpocznie. Tymczasem, ledwie opuściłem stanowisko, zerwał się wicher, w nocy nastąpiła śnieżyca i nowym kobiercem pokryła całą okolicę.

W kilka dni t. j. 19. mróz zelżał i śnieg stajał szybko pod wpływem słońca i wiatru południowego. Wybrałem się więc znowu na ciąg, tym razem w towarzystwie legawca Kastora i sześcioletniego synka mojego. Stoimy na stanowisku, zmrok już zapadł, gwiazdka wieczorna przyświeca, żuki brzęczą, gdzieniegdzie kos spłoszony świergoce, zatem baczność! To chwila, gdzie myśliwy wytężać musi wszystkie swoje zmysły i strzelbę z palcem przy cynglu silniej ściska, aby być w pogotowiu do strzału. Nareszcie słychać chrapanie wyraźnie, nie ma wątpliwości, to ona nadciąga z tyłu. W jednem oka mgnieniu odwracam się, biorę na sztych o jakie pół metra naprzód niej i strzelam. Słonka pada jak kula prawie pod nogi i nim

legawice przyskoczył, chwycił ją mój chłopiec w swe ręce, wydzierając ją, z okrzykiem „to moja“ psu prawie z pyska.

I znowu zawitały dni śnieżne i zimne; mróz w nocy dochodził do niebywałej o tej porze wysokości (— 12 R.). Biedne nasze zajączki, czy one to wytrzymają i czy nie staną się łupem chytrego mykity?

Ptactwo przelotne w lasach ucichło i jakby pod ziemię się schowało, a co wogóle z niem się stało niewiadomo; ucha myśliwego nie dochodzi ani jeden głos śpiewu ani też rozpaczy, a przecież żyć muszą i los taki znoszą z zadziwiającym spokojem i rezygnacyą. Tymczasem szum i wicher ze śnieżycą wyją niemilosiernie i jakby na wzór Wolfów i Schönererów aura tegoroczna sprawia myśliwym obstrukcyę. Widocznie to nowomodna choroba, którą sprawia obecnie prawdopodobnie jakiś *baccyl'lus obstructionalis.*

Przedwczoraj zaraportował mi dozorca lasowy, że locha z warchlakami została w oddziale obtropioną. Pragnąłem ująć żywcem warchlaki i dlatego zebrałem na prędce kilku myśliwych i pojechałem na miejsce. Po obcięciu części miotu ustawiłem strzelców, dwóch zaś dozorców z psami na smyczy i leśnego z workiem wysłałem w trop. Po niejakim czasie widzę, że locha przeszła przez wąską linijkę, a tuż za nią przesunęło się pięcioro malutkich, tegorocznych warchlaków i jak koty pomykały na śniegu tak raźno, że aż się zdziwiłem. Wkrótce padł strzał i zaraz krzyk „łapaj pacięta“. Zbiegliśmy się razem na miejsce i tu można się było przekonać, że samura chybiona weszła do sąsiedniego miotu, warchlaczki zaś przestraszone hukiem zatrzymały się i pozostały w gąszczu. Rozpoczęło się więc szukanie, bo zależało mi na tem, aby bodaj jedno uchwycić żywcem, lecz nadaremnie, zniknęły nam z oczu i dopiero po śniegu przekonaliśmy się, że wróciły tym samym tropem do dawnego legowiska. Kazałem teraz puścić psy i wkrótce dał się słyszeć kwik, dozorca szybko przyskoczył, wyjął dzika psu z pyska i wsadził do worka. Dziwnym sposobem jakoś pies nie skaleczył go wcale. Gorzej było drugiemu, którego pies chwycił i silnie poturbował, resztę zostawiliśmy nietknięte. Wróciwszy z takiem trofeum do domu, kazałem w stajni przyrządzić z desek klatkę, a warchlaczki tymczasem wsadziłem do paczki, która stała w kuchni. Po niejakim czasie nadjechał ksiądz miejscowy. Opowiadam mu o dzisiejszem polowaniu i że ułowiliśmy dwa dziki żywcem; on radby zobaczyć, więc posyłam do kuchni, jakże jednak byłem zdziwiony, gdy służąca wraca i mówi, że dzik uciekł. Skąd? z klatki. Wybiegam na dwór i tu dowiaduję się, że warchlak już na polu, a za nim leśny, furman i pastuch pędzą, aby go złapać, lecz daremnie, nie dał się im dopędzić, przeskoczył nawet przez potok, wprost posunął do lasu i przepadł. Klatka, z której wyskoczył, była przeszło na metr wysoką o gładkich ścianach. Nie miałem pojęcia, aby takie maleństwo, zaledwie stopę mierzące, kilkutygodniowe warchlę, mogło z tej klatki wyskoczyć i tak szybko uciekać.

Nazajutrz donosi mi znowu dozorca, że locha, zebrawszy w nocy pozostałe warchlaczki, zaległa w innem miejscu. Zawziąłem się i mimo silnej zawieruchy pojechałem z ludźmi, aby znowu choć jednego złapać. Tym razem samura wymknęła się bez strzału, a z nią poszły także warchlaki, nie mogła jednak pójść daleko, obtropiliśmy je powtórnie i zajęli stanowisko, a psy puszczono w trop. Za chwilę woła leśny, że locha znowu przeszła, a warchlaki zostały w kulturze. Schodzimy się więc razem na naradę, jak urządzić schwytanie i stoimy wszyscy przy słupie na linii, w tem furman woła z woza: „dyk! dyk!“, obracam się, a tu locha przed nami stoi na 10 kroków. Chwytam za strzelbę, ale nim się potrafiłem złożyć, umknęła w gąszcz, widocznie szukając młodych. Nauczony doświadczeniem staję teraz na tropie, gdzie tylko co wyszła locha; strzelbę oparłem o drzewo i z gałęzią w ręku czekam. I rzeczywiście już biegnie jeden warchlak, o jakich 2 kroki już jest przedemną i staje, chcę go przykryć gałęzią, a potem złapać, ale nim mi się to udało zwrócił się i jak szczur czmychnął napowrót do lasu. Wołam na dozorców, nareszcie przychodzą a z nimi i psy, podkładamy na trop i zwolna wszyscy szukamy po gąszczu, idąc za śladem przychodzimy do kupy chrustu; pies skoczył w to miejsce i nim się dostał do warchlaka, już go mieliśmy w ręku. Za chwilę złapaliśmy i drugiego. Mam ich więc teraz dwoje i to parkę, którą przechowuję w domu. Zabierają się już do mleka i jest nadzieja, że się dadzą wychować, a może i do pewnego stopnia oswoić. O ich dalszym losie kiedyś doniosę.

R. Kesselring.

Sprawozdania delegatów.

Z powiatu wadowickiego.

Majątki Mucharz 600 morgów i Jaszczurowa 2000 morgów, właściciel p. Franciszek Tetschel, myśliwy. W rewirach znajdują się sarny, zające, przechodnie dziki, dużo lisów. Z powodu choroby właściciela zwierzyna zaniedbana. Na polowaniach strzelają lisy, zresztą szkodników nie tępią. Polowania nie odbywają się regularnie; poluje się kilka razy do roku.

Majątek Skawce dworskie, 220 m., właścicielka panna Teofila Znamięcka. W rewirach bardzo mało zajęcy i trochę kuropatw. Szkodników nie tępią; poluje się tylko na kuchnię.

Zembrzyce, 1500 morgów (razem z gminnem), właścicielka panna Teofila Znamięcka; polowanie dzierżawi skarb państwa Sucha hr. Branickiego. Stan sarn średni, lisów dużo, zajęcy i kuropatw mało. Polowanie odbywa się raz na rok.

Świnna Poręba, 800 m. (razem z gminnymi), właściciel p. Krobicki, niemyśliwy. W rewirach znajdują się zające i kuropatwy w małej ilości; polowania odbywają się dość często. Tak samo dość często odbywają się polowania w drugim majątku tego samego właściciela Jaroszowicach (900 m. razem z gminnem), gdzie jest niezły stan sarn i zajęcy i dużo lisów.

Łękawica dworski las, 700 m., wł. p. Reich, niemyśliwy. Stan sarn niezły, trochę zajęcy, dużo lisów. Szkodników nikt nie tępi. Polowania dość częste. Dużo kłusowników, których straż nie prześladuje i nie ściga.

Zagórze, wł. p. Przecława Sławińskiego. Polowanie na gruntach dworskich i gminnych (5.000 m.) dzierżawi zarząd c. k. źrebięciarni. W rewirach zające i kuropatwy. Polowania się nie odbywają; czasem dozorca sam idzie na polowanie. Zarząd c. k. źrebięciarni dzierżawi także polowania na gruntach dworskich i gminnych w Kleczy górnej (1.200 m.); Barwałdzie górnym (625 m.) wł. p. Przecław Sławiński, oraz w Kleczy dolnej (2.500 m.) wł. p. Neumayer. W rewirach tych majątków są sarny, trochę zajęcy i kuropatw, więcej lisów. Polowania się nie odbywają. Czasem tylko dozorca pójdzie na polowanie.

Wadowice gmina (500 m.) dzierżawi polowanie dr. Gedl z Wadowic, myśliwy. Są zające, kuropatwy i kaczki. Polowanie raz do roku.

Barwałd średni prawo polowania wraz z gminnem wykonywuje p. Gładysz z Wadowic, myśliwy. Są zające i w małej ilości kuropatwy.

Kalwarya Brody (1.000 m. z gminnem) wł. p. Wojciech Brandys, myśliwy. Są sarny, zające, lisy, stan średni. Leśniczy dbały o zwierzynę tępi szkodniki. Poluje się raz do roku.

Zebrzydowice (1.000 m. z gminnem) wł. klasztor braci Miłosierdzia. Są zające i kuropatwy; stan średni. Poluje się raz do roku.

Kalwarya (800 m. z gminnem) wł. Klasztor OO. Bernardynów. Stan zajęcy i kuropatw średni. Poluje się kilka razy do roku.

Tarnawa (2,000 z gminnem) prawo polowania wykonywuje skarb państwa Suchy hr. Branickiego. Stan sarn średni; dużo lisów, zajęcy i kuropatw mało.

Barwałd górny (polowanie gminne 400 m.), Łąkawica (gminne z częścią dworskiego 2.200 m.), Stryszów (z gminnem 2.000 m.), Dąbrówka (z gminnem 800 m.), Makówka (z gminnem 500 m.), Skawce (gminne 1000 m.), dzierżawi dr. Franciszek Łubieński, myśliwy; stan sarn dobry; zajęcy od dwóch lat mniej; kuropatw stan średni; bażantów dużo, które choduje się na dziko i sztucznie jajami. Lisów, które ciągle podchodzą z sąsiednich rewirów, ilość znaczna. Przechodnie dziki. Niezły ciąg słonek. Zwierzynę karmi się, a szkodniki tępi wszelkimi sposobami.

W r. 1898 ubito w tych rewirach zwierzyny pożytecznej: rogaczy 7 (kulą na podchodnem), zajęcy 158, bażantów 52, kuropatw 179; przepiórek i chruścieli 36; słonek 14, kaczek para, razem 451 sztuk.

Szkodników: lisów 14, psów 7, łasek 37, kun 5, tchórzów 27 (te trzy ostatnie przeważnie w łapki i żelaza), kotów 69, jastrzębi i krogulców 41, wron i srok 145, sów 7, razem 382 sztuk.

Stan zwierzyny w ogóle w całej okolicy smutny; teren górzysty, mnóstwo parcel włościańskich wśród dworskich, ciągły przeto niepokój. Szkodników prawie nikt nie tępi; polowania nie odbywają się regularnie, ale przeważnie odbywa się polowanie na kuchnię. Również mało gdzie karmią zwierzynę w zimie. *F. L.*

Z powiatu liskiego.

Bachórzec, właściciel Ignacy hr. Krasicki, sam myśliwy; szkodniki są tępione przez straż leśną, przez cały rok w lesie i na polu; zwierzynę się w zimie żywi; poluje się raz do roku. Wykaz ubitej zwierzyny i szkodników, od 1. lipca 1897 r. do 1. lipca 1898 r.:

Rogaczy 10, zajęcy 90, jarząbek 1, słonek 4, kuropatw 69, przepiórek 7, chruścieli 4, kszyk 1, kaczek 9, gołębi 4.

Lisów 14, borsuk 1, kuna 1, tchórzy 2, łasic 34, psów 12, kotów 47, jastrzębi 20, wron 152, srok 163, gniazd zdjęto 15. Kłusowników nie ma.

Kosztowa. Właściciela z powodu zawikłanych interesów nie ma; stosunki łowieckie w opłakanym stanie; kłusownicy i wszelkie szkodniki tępią zwierzynę przez cały rok, a resztki dobijają na kilka razy powtarzających się polowaniach; pseudo myśliwi z okolicznych miasteczek, zabijają wszystko, nie wyłączając kóz. Naturalnie szkodników nikt nie tępi, ani dla zwierzyny nic nie robi.

Sielnica. Właściciel p. Cypryan Jaworski, sam nie myśliwy; poluje straż leśna; szkodników nie tępią. Stan zwierzyny bardzo lichy, z powodu polowania na kuchnię i zupełnego wytrzebienia lasu.

Ruska wieś. Właścicielka Jadwiga hr. Weissenwolff, myśliwa; szkodniki po części tępią, zwierzynę w zimie karmią, polowanie odbywa się raz do roku. Zajęcy mało, stan sarn dość ładny.

Przedmieście Dubieckie. Właściciel izraelita. Na małej części pól ma polowanie hr. I. Krasicki, gdzie stan zajęcy i kuropatw jest wcale ładny. Na reszcie terytoryum polują urzędnicy; ponieważ polowanie odbywa się kilka razy i nie racyonalnie, stan zwierzyny jest tam bardzo lichy. W zimie nikt o nią nie dba i szkodników nie tępią.

Drohobyczka. Właściciel izraelita, polowanie wydzierżawione komuś z Przemyśla. Z powodu kłusowników, wielkiej ilości szkodników nie tępionych i nieracyonalnego polowania, zwierzostan w opłakanym stanie.

Śliwnica. Właściciel Stanisław hr. Konarski, nie myśliwy. Stosunki łowieckie bliżej nieznane.

Nienadowa. Właścicielka Laura hr. Dembińska. Szkodników nie tępią, zajęcy i kuropatw mało; gdyby polowano racyonalnie mógłby być ładny stan sarn.

Iskań. Właściciele spadkobiercy śp. Gabryela Załęskiego. Szkodników nie tępią, poluje straż leśna przez cały czas ustawą dozwolony, więc zwierzostan bardzo lichy.

Bachów. Właściciel p. Nowosielecki, nie mieszka w miejscu. Prawdopodobnie szkodników nie tępią i dla zwierzyny nic nie robią. Za poprzedniego właściciela zwierzostan był dość ładny.

Babice. Właściciel p. Józef Jarużelski, myśliwy. Stosunki łowieckie bliżej nieznane.

Z niniejszego wynika, że stosunki łowieckie w opisanej okolicy są w opłakanym stanie. Na całym wyżej opisanym obszarze, szkodniki są tępione tylko w dwu miejscowościach, co jest kroplą w morzu, a zwierzyny łownej, prócz w tych dwu miejscowościach, co roku ubywa. Że podniesienie zwierzostanu wśród takich sąsiedztw i stosunków przychodzi z wielką trudnością, każdy łatwo zrozumie. Bezpośrednio sąsiadujemy z powiatem brzozowskim, gdzie stosunki nie są lepsze.

Ustawę łowiecką po największej części ignorują głównie pseudo-myśliwi z miasteczek, a żandarmerya o przekroczeniach ustawy nic nie wie.

August hr. Krasicki.



Sprawy Towarzystwa.

Zapłacili w lutym 1899 za rok 1898:

Łastowiecki Higieniusz	5·00	Steblecki Ks. Dominik	5·75

Zapłacili w lutym 1899 za r. 1899:

Abrahamowicz Eugeniusz	5·00	Lipiński Lubin	5·00
Agopsowicz Kazimierz	5·00	Lubomirski ks. Zdzisław	6·35
Baborski Ottomar	5·00	Ładomirski Zdzisław	5·00
Beil dr. Alfred	5·60	Łastowiecki Bronisław	5·00
Bocheński Franciszek	5·00	Łysakowski Leopold	5·00
Borkowski hr. Miecz.	5·00	Madejewski Waleryan	5·00
Brzozowski Jan	6·35	Małkowski Józef	1·50
Bzowski Kazimierz	6·80	Marmarosz Kazimierz	5·00
Bzowski Wincenty	6·50	Marmorosz S.	5·00
Bzowski Władysław	5·00	Martyniak Józef	2·50
Cetner hr. Albert	5·00	Morawski Henryk	5·89
Chmielewski Ferdynand	1·20	Mikołajewicz Kornel	5·00
Cielecki Zaremba Artur	5·05	Mycielski hr. Edward	5·89
Cieński Ludwik	5·00	Mynarski Seweryn	5·00
Czaykowski Władysław	7·50	Obmiński Kazimierz	5·00
Czechowicz br. Wład.	5·15	Orzechowski Władysław	7·60
Denker Kazimierz	5·10	Pacuła Bolesław	5·10
Dzieduszycki hr. Karol	5·00	Pawlik dr. Stefan	5·00
Feuereissel Henryk	5·70	Paliszewski Adam	5·00
Frenkl Józef	5·00	Potocki hr. Aleks.	5·00
Gajewski Adolf	5·00	Potworowski Seweryn	5·00
Gołkowski Antoni	5·00	Ronikier hr. Michał	6·35
Groblewski Kazimierz	5·00	Russanowski Aleks.	6·35
Grocholski hr. Stanisław	6·35	Schedivy pułk.	5·00
Gubrynowicz i Schmidt	3·50	Schnell Oskar	5·00
Gutowski Feliks	5·00	Seeling Ferdynand	2·50
Heggenberger Jacek	5·70	Serwatowski M. Z.	5·00
Horoch br. Adam	10·50	Sobański Jan	6·35
Jagellonia w Krakowie	2·50	Sobolewski Cyrus Feliks	5·00
Jakubowicz Mieczysław	7·00	Stadnicki hr. Jan	5·00
Jasiński Wiktor	7·50	Starzeński hr. Adam	5·00
Jędrzejowski Michał	5·00	Starzeński hr. Leopold	5·00
Józefowicz Ludwik	2·50	Stojowski Jan Jordan	5·00
Kapliński B.	5·00	Struszkiewicz Michał	5·00
Kasyno Besida, Sanok	1·50	Świętosławski Wacław	5·00
Kisielewski Seweryn	5·00	Szarczyński Bolesław	2·55
Köller Hieronim dr.	5·00	Szczepański Jan	2·50
Korytowski hr. Wład.	5·00	Tobis Julian	5·60
Korytyński Tytus	5·00	Towarz. myśl. w Kałuszu	5·00
Kozicki Juliusz	5·00	Tyszkiewicz hr. B. J.	8·40
Koziebrodzki Szcz. J. E.	5·10	Tyszkiewicz hr. Janusz	5·00
Krajewski Józef	5·00	Ujejski Bronisław	5·00
Krobicki Leon	5·00	Wolski Eustachy	5·00
Krusenstern hr. Karol	5·00	Wołkowiecki Ignacy	5·60
Kwiatkowski Feliks	5·00	Wybranowski Stanisław	5·00
Larisch br. Adryan	1·80	Zbyszewski Kazimierz	5·00

Kronika.

Delegat nasz dobromilski, p. A. Morelowski z Leszczawki, znalazł we wnętrznościach zabitego przez siebie, całkiem zdrowo wyglądającego rogacza, przedmiot podobny do jaja, którego podobiznę obok podajemy w naturalnej wielkości. Lekarze i praktyczni myśliwi, którym p. M. jaje to okazywał, widząc twardy, okrągły, szklisty przedmiot, nie mogli sobie zdać sprawy z tego, co to może być za ciało i w jaki sposób znalazło się luźno we wnętrznościach rogacza. Przypadek, bo jeszcze nie przystąpiono do rozcięcia tego przedmiotu, odkrył, że jest to okrągły kamień wapienny, który widocznie połknięty przez rogacza przy piciu wody w górskim potoku dostał się do jego żołądka i tam dłuższy czas leżąc, pokrył się szklistą powłoką, grubości zwykłego papieru, o składzie chemicznym tym samym, jakiego jest np. kamień tworzący się na zębach ludzkich.



W każdym razie fakt, że rogacz ciężki i duży przedmiot, bez ujmy dla swego zdrowia, od długiego widocznie czasu w sobie nosił, jest bardzo ciekawy i dlatego podajemy go do wiadomości szanownych czytelników.

Międzynarodowa wystawa psów myśliwskich odbędzie się od 27. do 29. maja w Wiedniu, w sali Tow. ogrodniczego. Wystawę tę urządza austro-węgierski „Foxterrier-Club“ Wiedeń I. Kantgasse l. 3, który też udziela wszelkich informacyj.

Ważne dla myśliwych pytanie, czy i kiedy właścicielowi ziemskiemu przysługuje prawo zastrzelenia obcego, po jego polu biegającego psa do polowania, rozstrzygnął w tych dniach berliński kammergerycht w ostatecznej instancyi. Wyrok pierwszej instancyi, orzekający, że prawo to właścicielowi przysługuje, jeżeli może udowodnić, iż obcy pies biegał po polu, węsząc za zwierzyną, lub idąc za jej tropem, został zatwierdzonym w drugiej instancyi, z tem umotywowaniem, że, chociaż §. 65. cz. II. tyt. 16 ogólnego prawa krajowego mówi tylko o zwyczajnych psach obcych, uganiających się za zwierzyną, to §. ten nie stoi na przeszkodzie, ponieważ w danym razie idzie o to, czy obcy pies do polowania tropi zwierzynę czy tylko przypadkiem znajduje się na obcem polu.

Koziorożce uralskie w Tatrach. Z Zakopanego piszą do *N. Ref.:* Ciekawych mieszkańców pozyskały Tatry. Oto książę Hohenlohe, właściciel znacznej części Tatr sprowadził koziorożce z Uralu do Tatr i zamierza je tam rozmnożyć. Koszt sprowadzenia jednego koziorożca wynosi 360 zł. Niezmiernie zajmująca rzecz, czy koziorożce przystosują się do nowych warunków i czy się rozrodzą w Tatrach. W dawnych opisach Tatr wspominają obok kozic także o koziorożcach. Prędzej jednak uważać należy to podanie za wymysł bujnej wyobraźni, która nawet dzikie konie chciała widzieć w Tatrach. Gdyby koziorożce istotnie dawniej żyły w Tatrach, musiałyby przecież gdzieś pozostać po nich potężne kości lub rogi, w jakiej jaskini, używanej za schronienie. Tymczasem żadnego śladu nawet w ustach ludu o zwierzętach tych napotkać nie można. W Alpach koziorożce są już bardzo rzadkie, to jest ograniczone do niektórych tylko okolic. Król włoski namiętnie lubi te zwierzęta i ochrania je w swoim obszarze łowieckim w Alpach piemonckich. Przed laty łożył jeszcze król Emanuel na sprowadzenie większej ilości koziorożców do swego obszaru.

Koziorożce są znane w Alpach z zabawnych przymiotów. Lubią bardzo płatać figle ludziom, napadają na szałasy, zwłaszcza, gdy nie spodziewają się porządnej odprawy. I tak w Alpach była samotna juhaska w szałasie, której koziorożce złośliwie dokuczały, burzyły komin wskakując na dach, niszczyły palenisko pieca i t. d. Zaraz z początkiem sprowadzenia koziorożców do obszaru króla włoskiego, umieszczono je w niedostępnem ze wszech stron miejscu, dokąd po drabince przychodził dozorca. Pewnego razu koziorożce napadły na dozorcę i chciały go zepchnąć w przepaść tak, że ledwo uszedł z życiem.

Już dawniej sprowadził książę Hohenlohe jelenie do Tatr, do swego zwierzyńca. W roku zeszłym puścił stadko jeleni amerykańskich, umyślnie przywiezionych na ten cel z Kanady,

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redakcya: Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1. Redaktor odpowiedzialny: **Edmund Kolbuszowski.**
Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie — pod zarządem Z. Hałacińskiego.